

Anna Jakubowska „Paulinka”

Pamięci Hanki Bińkowskiej „Joanny”

Hankę Bińkowską, noszącą pseudonim „Joanna”, poznałam najpewniej u Zosi Krassowskiej „Zosi Dużej”, która już w pierwszych latach okupacji organizowała szkolenie ideowo-wychowawcze i sanitarne dla nas, młodszych dziewcząt, głównie uczennic Szkoły Jadwigi Kowalczykówny. Obydwie były studentkami medycyny.

Zewnętrznie bardzo się różniły. Zosia – drobna, szczupła, zazwyczaj poważna – budziła respekt i wymuszała pewien dystans, dopóki się nie uśmiechnęła tym swoim charakterystycznym, półuśmiechem. Niezwykle obowiązkowa, systematyczna, była wzorem, który miało się ochotę naśladować. „Joanna” – duża, wesoła, jasna blondynka o szerokich ramionach, jakby stworzonych do obejmowania i pocieszania słabszych i nieporadnych. Pełna wdzięku i humoru, promieniała pogodą i optymizmem.

Na pozór takie różne - były w gruncie rzeczy bardzo podobne. Cechował je żarliwy patriotyzm i zdolność do największych poświęceń „dla sprawy” – jak to się wówczas mówiło.

Nie spotykałam „Joanny” przed Powstaniem zbyt często, byłam wówczas łączniczką i kontaktowałam się głównie z Ireną Kołodziejską „Ireną”. Pamiętam jednak, jak odwiedziły mnie razem z „Zosią Dużą” w czasie mojej choroby, kiedy miałam żółtaczkę. Wzruszyła wtedy ich troska nie tylko o moje zdrowie, ale i serdeczność, jaką mnie otoczyły, zastępując nieobecna matkę i nieżyjącego ojca.

W czasie Powstania Warszawskiego „Joanna” była dowódcą drużyny dziewcząt kompanii „Maciek” batalionu „Zośka” i ja, jako sanitariuszka 3. plutonu, jej podlegałam. 8 sierpnia miałyśmy obydwie uczestniczyć w ważnej akcji unieszkodliwienia pociągu pancernego, poruszającego się po linii obwodowej i ostrzeliwującego nasze pozycje na Woli.

Niestety, wskutek złego rozpoznania sił niemieckich nie tylko nie udało się unieszkodliwić pancerki, ale oddział nasz poniósł straty. Byli zabici i ranni, którym nie można było pomóc. Dowódca akcji – Andrzej Sowiński „Zagłoba”, mimo ran w nogę, rękę i szyję próbował zorganizować wycofanie, ale nie mógł iść. Pochyliliśmy się nad nim. Noga i ręka nie stwarzały zagrożenia, ale szyja? „Joanna” stwierdziła wlot i wylot, więc zaniepokojona kazała mu coś powiedzieć – on na to wydaje głośną komendę: każe mu przełknąć ślinę – on przełyka bez trudności; każe mu odetchnąć głęboko – on przeklina zdenerwowany kilkunastosekundową zwłoką w wycofywaniu się oddziału. „Joanna” zerka na mnie i mruczy pod nosem” „Niesamowite – przestrzał szyi bez uszkodzenia tętnicy, tchawicy, przełyku”.

Nie ma czasu na rozmyślania, podnosimy go wspólnie – „Joanna” pod ramiona, ja za nogi. Naturalnie jej jest trudniej. „Zagłoba” jest wysokim mężczyzną, jest nam ciężko, z każdym przebyłym metrem coraz ciężiej. Jego oficerskie buty z cholewami wyślizgują mi się z rąk, ale jakoś posuwam się do przodu, skoncentrowana na tym wysiłku, zupełnie nie zdając sobie sprawy z grożącego nam niebezpieczeństwa. Słyszę łagodny głos „Joanny”: „Już niedaleko, jeszcze troszeczkę” i nagle” „Paulinko, dostałaś ?” „Nie, nie dostałam !” – odkrzykuję, starając się, żeby te słowa dotarły do niej przez jazgot broni maszynowej. Wiem, że ona widzi więcej i ma wrażenie, że każdy pocisk może dosięgnąć kogoś z nas.

W końcu dochodzimy do naszej placówki. „Zagłoba” zostaje odtransportowany do szpitala. My staramy się opatrzyć rannych. Jeden z nich, zszokowany, biegnie z zakrwawioną głową i nie pozwala zabandażować rany. Wracam zmęczona i smutna, bardzo mi potrzeba szerokich ramion i krzepiących słów otuchy.

W dwa dni później zostałam ranna i nie mogłam już wrócić na linię. Spotkałam „Joannę” dopiero w ostatnich dniach sierpnia, kiedy ranna przywieszono do naszego szpitala przy ul. Miodowej 23, kierowanego przez dr. Zygmunta Kujawskiego „Broma”. Była ranna w głowę. Jej stan wymagał operacji. W urządzonej w piwnicy prowizorycznej Sali opatrunkowej nie było światła, trzymając więc świecę asystowałam „Bromowi” przy zabiegu. Nie było już środków znieczulających, a ranę należało zeszyć.

Wspaniały doktor, doskonale zdający sobie sprawę z bólu, jaki zadaje rannej, starał się mówić o nadziei na rychłe przewiezienie do prawdziwego szpitala, o optymistycznych perspektywach. „Joanna” z bólu zagryzała wargi i żeby nie jęczeć powtarzała: „Szyj, ja wytrzymam !”.

Patrzyłam na jej zmienioną twarzyczkę i świeca, która miała oświetlać pole operacyjne, drżała mi w ręku, płomień migotał. Nie umiałam tego znieść, nawet w tej drobnej czynności nie okazałam się pomocna tym dwojgu wspaniałych ludzi w momencie ich najwyższej próby. Spokój, opanowanie, wytrzymałość ... Jak oni to osiągnęli ? – myślałam o desperackim wysiłku, by zachować odwagę i godność.

Wiem, że koledzy próbowali wyprowadzić „Joannę” z piekła Starego Miasta i skierować ją do jednego ze szpitali w śródmieściu, gdzie były znacznie lepsze warunki. Niestety, to się nie udało. Zginęła, jak wielu rannych, w szpitalu zbombardowanym przez Niemców przed ostatecznym zajęciem Starówki.

Gdy wspominam „Joannę”, myślę, jaką byłaby wspaniałą matką, opiekunem, a nade wszystko lekarzem.

Tekst był opublikowany w „Pamiętniku Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego” –
suplemencie do tomu CXXXIX, nr 7/2003 – Tajne studia medyczne w Warszawie 1940-1944,
Warszawa 2004